

Magazyn Literacki Składka
nr 4/2026 (22)
Obscena



Zuzia Sarlej, Agnieszka Garbutt, Justyna Hrycyk, Nina Sikorska, Bartosz Danisiewicz,
Norka Keller, Tomek Supeł, Konrad Tomalik, Magda Łobejko, Zuza Sroka



4	Zuzia Sarlej po mieście krążą karmiczne nieporozumienia a po moim pokoju sympatyczne duchy
8	Agnieszka Garbutt Bez tytułu
9	Justyna Hrycyk Cudze domy
14	Nina Sikorska The Chicken Palace
20	Bartosz Danisiewicz przygotowanie pierwsza pomoc rekombinacja
24	Norka Keller Czarno na białym
31	Tomek Supeł Zamuzykowany
32	Konrad Tomalik Workshop Simulator 2D
36	Magda Łobejko MISIE LUBI SIE
38	Zuza Sroka Bez tytułu

po mie- ście krążą karmicz- ne niepo- rozumie- nia a po moim pokoju sympa- tyczne duchy

Zuzia Sarlej

Po wyjściu z terapii kupiła linijkę i stringi. Usiadła na ławce i meła koronkę w dłoni, obserwując jak jakaś kobieta usiłuje wepchnąć wózek z dzieckiem do smoke shopu. Z zainteresowaniem patrzyła na miętowe tipsy i rozeżłone brwi toczące bitwę z materialnym wymiarem świata, to jest rozstawem kólek będącym znacząco szerszym od framugi drzwi. Świetnie rozumiała jej determinację; absurdalnym wydawało się, żeby rzecz tak błaha jak prawa fizyki mogła powstrzymać egzystencjalną potrzebę zajarania.

Jest to jednak instynkt, z którym usiłowała walczyć. Od psychoterapeutki usłyszała obelgi takie jak reaktywność emocjonalna czy brak habituacji. Podobno wiązało się to z jej niezdrowym przywiązaniem do życia wewnętrznego, które brało górę nad trzeźwym spojrzeniem na rzeczywistość, swoistym wzięciem się z życiem za bary. Usiłowała wytłumaczyć kobiecie, że ma księżyc w Skorpionie, więc demony przeszłości i chęć zemsty robią mnóstwo hałasu.

Doskonale ją rozumiałem.

Postanowiła podjąć jeszcze jedną próbę osadzenia się w tym świecie preferowanym przez innych, dlatego wyjęła linijkę i zaczęła mierzyć – swoje palce, łodygi kwiatów, studzienki kanalizacyjne. „Jakby miała miarkę w oku!”, chciała, żeby ktoś kiedyś powiedział tak o niej. Nie robiła jednak pomiarów dla poklasku, raczej w wierze, że znając wymiary świata fizycznego, wreszcie poczuje do niego przywiązanie. Było to coś, do czego nie chciałem, nie mogłem dopuścić! Mierząc monety na dnie fontanny była taka powabna, idealnie nieprzystosowana do życia...

Reagowała na moje sygnały. Zwąchałem brud pod jej paznokciem,

mieszankę naskórka i pyłu ulicy – pospiesznie wydłubała go końcówką linijki. Poczułem słony smak kropli potu toczącej się wzdłuż jej łydki – błyskawicznie wytarła go wierzchem dłoni. Łaknąłem więcej, brzydziej, chciałem dłubania w nosie, słów pogardy szepta-nych do siebie samej, w skrócie aktów samotności dokonywanych w pokoju, zarezerwowanych tylko dla mnie, a nie oglądy prezentowanej ślepiom miasta.

Wiedziałem, że w pokoju czuje mnie wyraźniej niż w parku, dotkliwiej niż na pocztce. Zastanawiało ją to i odstręczało zarazem – gło-sne echo jej myśli i pragnień, wykrzykiwane przeze mnie, jakbym był jaskinią we wnętrzu jej głowy. Chciałbym umieć wyszeptać: „Nie ma się o co martwić, żaden ze mnie anioł stróż czy napastliwy demon, jestem jedynie sympatycznym duchem”.

Nie pamiętam, jak mnie wywołała, musiała zrobić to nieświadomie, bo moje zaloty wydają się ją dziwić i peszyć. Niemniej od dłuższego czasu przemierzam z nią miasto, liżę gumy przyklejone do podeszwy jej japonka, żartuję z kłębami dymu, które wypuszcza ustami. Znam wszystkich jej wrogów, nienawidzę ich! Rzadko są nimi ludzie, częściej idee, doznania i kombinacje kolorystyczne. Biorę ten gniew, mnożę go i rzucam w przechodniów, pewien, że mają swoje za uszami, nie wiem dokładnie co, ponieważ nie egzekwuję karmicznych procesów, jedynie z nimi współpracuję.

Wylądowaliśmy w barze, co mnie ucieszyło; po paru głębszych jej ruchy stają się okrągłejsze, a i myśli bardziej frywolne. Jedynie te gały wlepiające się w nią z lubieżnych oczodołów w ulanych twarzach, rozsianych po sąsiednich stolikach, one nad wyraz mnie drażnią. Krążą od wklęsłości skroni do wypukłości aureoli prześwi-

tujących przez jasną bluzkę. Prymitywne łajdaki. Jasne, ktoś mógłby powiedzieć, że nie jestem od nich lepszy, duch czy nie, podglądacz zawsze wstydzi się mocniej niż jego obiekt. Ale ja nie chcę zaspokoić potrzeb ciała, którego nie mam, tylko wchłonąć jej esencję, być z nią na zawsze w naszej własnej teraźniejszości – nie jesteśmy tacy sami.

Podglądana, chociaż czuła na sobie uwagę, wpatrzona była w barmankę. Wyraźnie przymierzała jej gesty, tatuaże, fryzurę. „Doprawdy, rozejrzyj się”, miałem ochotę jej powiedzieć, „ten kraj ludzi wychowanych przez wilki nie potrzebuje kolejnej dziewczyny z wolf cutem”. Niewiele by to dało, tłumaczenie, że nie może ubrać wszystkich form na raz, być muchą i meduzą za jednego życia. Jeszcze tego brakowało, żebym ja, duch, przypominał jej, jak działa rzeczywistość.

Wreszcie, w pokoju, chwyciła za nowe stringi. Były pierwszymi, które kiedykolwiek trzymała w dłoniach, ociągała się więc; czuła, że pasek między jej pośladkami będzie w jakiś sposób nieodwracalny, przywiąże ją do tego, czym rządzi się materialny świat. Drżałem z nerwów, przez przypadek spuściłem chyba nawet wodę w toalecie za drzwiami. Najpierw dokładnie zmierzyła koronkowe sploty, krytycznie się im przyglądając. W jej głowie wysyłały tylko jedną niewerbalną wiadomość, której wcześniej nie chciała emitować. Ale czas już jej było spoważnieć i zająć się przyziemnymi sprawami. Kłębiłem się między jej kostkami, kiedy powoli wsuwała nogi w sznurki, gnałem wzdłuż kolan i pachwin podążając za koronką. Czułem jej smutek, poczucie porażki, że oto musiała zniżyć się do użycia linijki i stringów, żeby znowu z odwagą wejść między ludzi. Wiedziałem, że wie, że tu jestem, istnieję w jej ruchach i gęsiej skór-

ce, może nawet cieszyło ją moje towarzystwo. Niemniej ostatnim, pewnym ruchem, jakby odcinając rybi łeb tasakiem, wsunęła majtki na miejsce i spojrzała mi prosto w oczy. Wtedy się skończyłem.

Zuzanna Sarlej – pisze, redaguje i uczy angielskiego. Absolwentka Uniwersytetu Amsterdamskiego i Autonomicznego Uniwersytetu w Barcelonie. Publikowała w magazynach *Contemporary Lynx* oraz *Tlen Literacki*. Współpracuje z trójmiejskimi instytucjami kultury. Instagram: @sarley_

Bez tytułu

Agnieszka Garbutt

tamtego lata wszystko pęczniało,
proboszcz przechadzał się po plebanii
w kanarkowożółtych szortach,
a pani F. miała kolana czerwone
od szorowania marmurów.
sady wyjątkowo obrodziły
i nasze usta i czereśnie były słodsze
niż kiedykolwiek wcześniej.
maryja z groty za kościołem powiła
dwa puszyste kocięta,
pachniało lipą, asfaltem i moczem.

Agnieszka Garbutt – publikowała m.in w magazynach: *Składka*, *Wizje*, *Tlen Literacki*,
Rita Baum, *Helikopter*, *Girls and Queers to the Front*. Mieszka w UK.

Podglądałam, gdzie trzymają klucze – byłam częścią krajobrazu,
mogłam całymi dniami stać i gapić się w punkt, w cudze okno
lub drzwi – nie było w tym nic podejrzanego. Dłonie chowałam
w rękawach, bo po dłoniach można było mnie poznać. Poza dłońmi
nie miałam nic, co zwróciłoby uwagę. Siadałam na krawężniku
i czekałam, aż ktoś wsunie klucze pod donicę, wrzuci walizkę do
auta, trzaśnie drzwiami i odjedzie. Zakładałam plecak, powoli
wstawałam, tuż pod domem wysuwałam palce z rękawów i sięga-
łam po klucz.

Wchodziłam do środka.

Byłam bezdomna. Odgrywałam jednak sceny, regularnie, o życiu
normalnym, a w nim najbardziej bawiła mnie miłość. Otwierałam
lodówki, wyciągałam z nich: ser, owoce, masło, wino, kurcza-
ka, dżemy. Majonez i coca-colę. Rozkładałam wszystko na stole,
chwilę szacując możliwości, kategoryzując styl, sumując smaki.
Puszczałam jakąś muzykę, sprawdzałam kolor bielizny i ręczników
w łazience. Zanurzałam palce w żarciu, wkładałam do ust, mówi-
łam: „sprawdzam”. Przymykałam oczy, starałam się to złapać.

Potem dzwoniłam.

Te domy miały ich w komplecie – puszczałam sygnał i szłam zrobić
kąpiel. Szorowałam się mocno. Czerwona skóra intensywniej
chłoneła atmosferę, nasiąkała pachnącymi świeczkami i mydłem.
Po kąpieli ubierałam szlafrok; gdy go nie było, zostawałam naga.
Smarowałam się kremem. Nacieralam pięty solą, a łokcie cukrem.
Zaparzałam herbatę i odpalałam peta, kładłam go na brzegu
szklanki jak kadzidło. Opierałam brodę na dłoni. Zaciągałam się

Cudze domy

Justyna Hrycyk

dymem, biernie. Brałam łyk wrzątku. Zakładałam włosy za ucho, skubałam skórki przy paznokciach. Liczyłam do dziesięciu, a potem do trzech.

Czekałam na zabawę.

Kochanie się w cudzych domach.

Kochanie się tylko w cudzych domach, nigdy poza.

Kochanie się w cudzym życiu, nigdy w swoim, na zewnątrz.

Kochanie się w cudzy sposób, który narzucali domy.

Dzwonek do drzwi.

Miałam system, starannie przemyślaną strategię zdejmującą ze mnie decyzyjność i poczucie winy. Był dość logiczny; dzięki temu każdy wiedział, co należy robić, jak zacząć, bez niezręczności. Nie trzeba było pytać, upewniać się, co kto lubi i czy w ogóle coś. Stawali nade mną w rozkroku, ja wskazywałam palcem. Konkret:

Czerwone ściany – bicie po twarzy i płucie w oko.

Skrzynie pod łóżkiem – wiązanie.

Żaluzje w oknach – fisting.

Brudne gary w zlewie – anal na stole.

Zwierzę w mieszkaniu – duszenie i bicie pasem.

Psujące się owoce – głębokie gardło.

Biały sufit – gryzienie (chciałam być gryziona, ale też gryźć. Jeśli dodatkowo penis był biały, czasem nie udawało mi się powstrzymać).

Kochanie się z obcymi mężczyznami w cudzych domach.

Kochanie się tylko z obcymi, nigdy z kimś więcej.

Kochanie się z mężczyznami, nigdy ze sobą, na zewnątrz.

Kochanie się w obcy sposób, który narzucali oni.

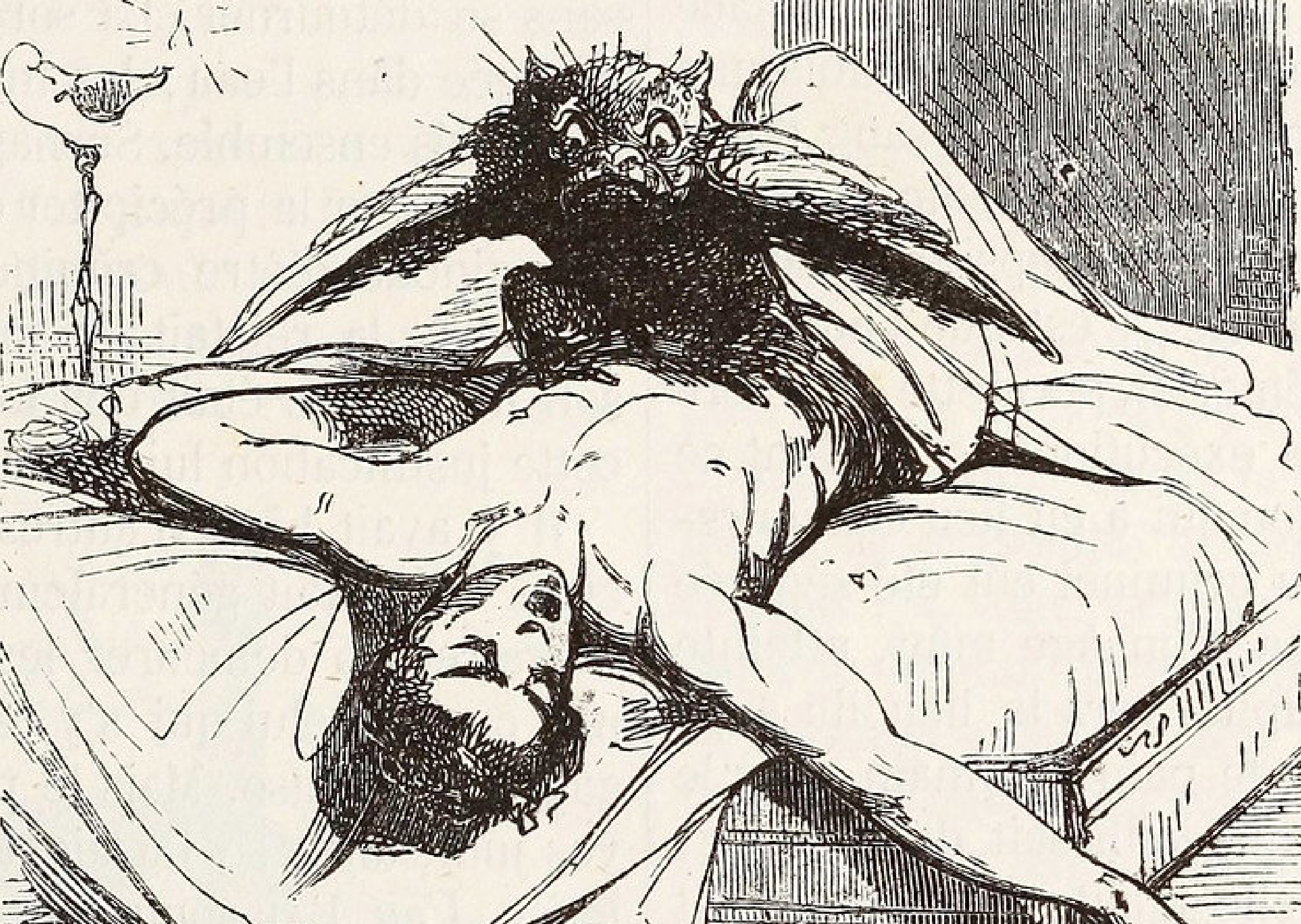
Spuszczali mi się do ust. Za każdym razem chciałam, żeby doszli we mnie, żeby doszli w cudzym domu, a potem wyszli, trzaskając drzwiami. Za każdym razem. Zamykałam oczy, przełykałam ciepłe. Ich już nie było. Trochę spermy zawsze lądowało obok, jako potencjał cudzego życia w cudzym domu, pamiątka dowodu. Zapach, taki trochę kwaśny, gorzki. Śluz. Czerwone ściany. Pręgi, brudne gary. Kocia sierść. Gnijąca gruszka. Firanki i jakieś pudła. Ciepła czerwona skóra. Stół. Bałagan. Książki, wieża babel.

Czasem włączałam telewizor i odpalałam peta. Oglądałam chwilkę, bez zaangażowania. Góra dziesięć minut. Potem ubierałam się, związywałam włosy, zgarniałam niedopałki do kieszeni, przepłukiwałam usta. Dłonie chowałam w rękawach. Rozglądałam się wokół, po cudzym domu. Liczyłam do trzech, a potem do dziesięciu.

Wychodziłam.

Byłam bezdomna. Odgrywałam jednak sceny, regularnie, o życiu normalnym, a w nim najbardziej przerażał mnie spokojny sen.

Justyna Hrycyk (1997) – kuratorka wypoczynku, pisarka, animatorka kultury, torciara i fanatyczka chipsów duszków. Autorka książki *GIRL DINNER* (Wydawnictwo Cyranka, 2026), za którą otrzymała nominację do Gwarancji Kultury 2026. Pomysłodawczyni i założycielka Letniego Domu Kultury *Krzętowisko*. Jej ulubiony cytat to „wszystko wszędzie naraz”. Żyje w rozkroku, pomiędzy wsią a miastem; najczęściej można ją spotkać we Wrocławiu, Warszawie, Krzętowie lub we Fiacie 500, słuchającą Bikini Kill. Instagram: @hrycunek.



The Chicken Palace

Nina Sikorska

– Znad morza wieje zimny prąd, już wkrótce będzie on odczuwalny w całej Polsce – mówi pogodynka z małego telewizora stojącego w kącie baru. Za nią rozpikselowana mapka z licznymi czerwonymi strzałkami. – Jednak nie martwcie się, drodzy telewidzowie, już w środę czekają nas przejaśnienia, tak więc gorąco zachęcam do biwaków lub chociaż sąsiedzkich grillów.

Astrid wyciera ladę i przyjmuje dwa zamówienia na średnio ostre skrzydełka, sosy mieszane.

– Przysięgam, że to była ona – mówi Sofiya, zatrzymując się w pół drogi do stolika, podbródkiem wskazuje na telewizor, w dłoniach ma cole i szklanki. – Te same perłowe powieki, żakiet z wypchany-
mi ramionami i kabaretki!

– Skoro tak mówisz. – Astrid wzrusza ramionami, udając obojętność. Na lekko wilgotnym blacie rozkłada łamigłówki i zaczyna łączyć kropki.

– Może dzisiaj też przyjdzie – ciągnie Sofiya, ustawiając butelki na stoliku.

Astrid łączy kropki w kształt kanciastego krokodyla, kolejne układa ją się w marynarską czapkę.

– Ja spróbowałabym do niej zagadać, na twoim miejscu. – Sofiya staje bezpośrednio przed Astrid. – Inaczej nigdy nie przestaniesz tego oglądać, tylko ta pogoda i pogoda, wszędzie niż atmosferyczny, a w śląskim powietrzu groźne dla płuc kopalniane pyły. A ja chciałabym w końcu obejrzeć *Ptaki ciemistych krzewów* lub chociaż coś o prawnikach, gdzie akcja dzieje się w Warszawie, przystojni mężczyźni wydają się głodni pieniędzy i władzy, ale ostatecznie okazują się tylko głodni miłości!

Astrid rzuca jej szybkie spojrzenie, kręcąc głową.

– To chyba już wolę, żeby telewizor był wyłączony – mówi i rzuca ostatnie, ukradkowe spojrzenie na pogodynkę. Ekran śnieży chwilę, po czym czernieje. Astrid odkłada pilota na serwetę zdobiacą kontuar. Za oknem wieje wiatr znad Suwałk.

Może i Astrid fantazjuje czasem na temat Madame Burzy (tak ją nazywała roboczo, bo prawdziwe nazwisko brzmiało zbyt pospolicie). Odtwarza w głowie tempo kroków, którym ona leniwie przemierza trasę z jednej strony mapy na drugą. Linie jej ciała w zielonym żakiecie. Potem jej wyobraźnia robi lekki skip do sennego niedziel-
nego popołudnia, pokoju wypełnionego różowym światłem, gdzie wspólnie jedzą sobie oliwki z deski serów, po obu stronach łóżka mają futrzane telefony stacjonarne i zapasowe tipsy, a u ich stóp leniwie kręcą się udomowione tygrysy.

Ale to tylko dzienne marzenia, które osładzają Astrid monotonię grafiku i odwracają uwagę od ostrego zapachu smażenia, którym przesiąknięte są jej ubrania.

– Mogę dodatkowy ketchup do tych skrzydełek? – pyta kobieta z kucykiem na czubku głowy, z jej koszulki sprana Myszka Minnie rzuca Astrid umęczone spojrzenie.

Astrid wyciąga spod lady koszyk z jednorazowymi sosami, kobieta bierze jeden i wraca do stolika. Przed Chicken Palace ustawiony jest mechaniczny samochód z twarzą Elvise na masce. Siedzi w nim smutna dziewczynka.

– Nie chcę, już nie chcę – woła niezadowolona, podczas gdy zabawkowe auto podryguje w nieregularnych spazmach.

– No, ale baw się – wzdycha stojąca nieopodal matka, przeglądając gazetkę Avonu.

– Ja chcę wylosować piłkę! – krzyczy dziewczynka, wskazując na

pobliską ścianę automatów.

– Baw się, aż się skończy. Nie po to płaciłam, żebyś się miała nie bawić – mówi matka ze znużeniem.

Astrid wrzuca do frytkownicy świeżą partię ziemniaków.

– Będę rzygać! – ostrzega dziewczynka.

– Proszę, to dla ciebie – mówi nowy głos.

Astrid odwraca się błyskawicznie, na podłodze ląduje ćwiartka ziemniaka. Widzi jak dziewczynka milknie, odbiera z pięknej dłoni kauczukową piłeczkę, potem dzwoni dzwonek nad drzwiami i noga za nogą do Astrid zbliżają się niebieskie kabaretki, na obcasach namalowane są chmury, a włosy w niebotycznej trwalej okalają lśniąco od perłowych cieni twarz. Z radia płyną piosenki Anny Jantar.

– Poproszę zestaw „mega chicken, mega flavour”. Z frytkami – mówi Madame Burza, angielskie słowa wymawiając z nienagannym akcentem. W dłoni ma papierosa, mimo znaku zakazu, który widnieje zaraz obok kasy.

Sofiya, która właśnie ściągała pajęczynę z okna wychodzącego na plażę, tuż za plecami Madame Burzy, wytrzeszcza oczy i wywija dziko rękami. Astrid piorunuje ją wzrokiem.

– Te frytki to będą takie yyy... – Astrid patrzy szybko na menu za sobą – takie zwykłe czy łódeczki?

– Może łódeczki – uśmiecha się Madame Burza. – I może zjadłaby Pani ze mną?

Sofka krzyczy niemo „tak, tak, tak!”. Potem mija pogodynkę beztro-skim krokiem i wbija na kasę kod na „mega chicken, mega flavour”.

– Ja podam – mówi, popychając Astrid w stronę wyjścia.

Wybierają stolik na zewnątrz, z widokiem na plażę. Skrzeczają mewy.

– To Pani, prawda? – pyta Madame Burza, zaciągając się krótko

i strzepując popiół do metalowej popielniczki. – Ten list?

Astrid zalewa falą gorąca, bierze oddech, ale nie jest w stanie wydo-być odpowiednich słów.

– Przyznam, że zaskoczyła mnie Pani. – Spalone blond włosy okalają skupioną twarz Madame Burzy jak aureola. – Dostawałam już listy miłosne, ale nigdy tak ekstrawaganckie.

Jej warszawski akcent nadaje jej aktorskiego sznytu.

– Mój Boże. Tygrysy, deska serów? I zapasowe tipsy na stoliku nocnym...

– Jak się Pani dowiedziała? – Astrid wyciera spocone ręce w fartuch.

– Nie było to trudne – odpowiada beztrosko Burza. – Chyba nie-często wysyła Pani anonimy, prawda? Na przyszłość radzę nie uży-wać nazwy lokalu, w którym się pracuje – uśmiecha się przelotnie.

– Myślałam, że The Chicken Palace to dość popularna nazwa – jąka się Astrid.

– Niech się Pani uspokoi. – Madame kładzie opierścionkowaną dłoń na ręce Astrid.

– Chciałam zaproponować, żeby towarzyszyła mi Pani na gali po-godynek dziś wieczorem.

Astrid unosi brwi.

– Myślałam, że raczej mnie Pani zwymyśla.

– Dlaczego miałabym to robić? – Burza opiera podbródek na ręce.

– Ten list to jedna z ciekawszych rzeczy, jakie czytałam od miesię-cy.

Madame sięga do torebki z wężowej skóry i przesuwą po blacie elegancki kartonik.

– Oto adres. A! – mówi, wstając i zabierając ze sobą kubelek

kurczaka. – Liczę na śniadanie, takie, jak w Pani liście. Ma być sałatka jarzynowa i czerstwy chleb z makiem.

*

Astrid długo wygląda swoją sukienkę, właściwie ma tylko tą jedną i wcale jej się nie podoba, ale to jedyny element w jej garderobie ozdobiony cekinami – symbolem wyjątkowej okazji, którą bezapelacyjnie jest gala pogodynek. Włosy sterczą jak czarna chmura, pogłębiając optycznie cienie pod oczami. Ale to nie jest ważne, to nie jest ważne, powtarza sobie w taksówce, potem na chodniku przed budynkiem telewizji polskiej, wreszcie w holu, gdzie serwują koreczki i cienkie kieliszki z szampanem. To nie jest ważne, bo w drzwiach widzi Madame Burzę w złotych leginsach i gorsecie w gwiazdy, która rozpromienia się na jej widok, kładzie dłoń na talii Astrid i prowadzi ją w głąb *crème de la crème* prezenterów i serialowych objawień.

Organizatorzy wydarzenia nie próżnowali, bo na gości czeka moc atrakcji – najpierw szukanie miniaturowych chmur z waty, które ukryte są w zakamarkach sali (na znalazców czekają nagrody pieniężne), potem konkurs recytowania nazw chmur (za *cirrocumulusa* Astrid wygrywa voucher na cienie do powiek), kalambury, podczas których znany serialowy amant w brawurowym stylu odgrywa pantomimę silnego, górskiego wiatru.

Nareszcie gwóźdź programu – wręczenie statuetki Pogodynki Roku. Nikt nie jest zdziwiony, że zdobywa ją właśnie Madame Burza, gromkie oklaski otaczają ją, kiedy wchodzi na scenę, światło reflektorów odbija się od jej złotych leginsów.

– Och, drodzy! – przemawia doniosłym głosem, balansując na wysokich platformach butów. – Tak miło mi przepowiadać dla was

pogodę, mam nadzieję, że w nadchodzącym roku, będę mogła zapowiedzieć rekordową ilość dni słonecznych, dni po prostu pięknych – jej wzrok zatrzymuje się chwilę dłużej na Astrid.

Ich wspólne dni rzeczywiście są piękne, a miłość nabiera tempa. Burza żartobliwie cytuje fragmenty listu, od którego wszystko się zaczęło. Domaga się śniadań i miłosnych schadzek w czasie popołudniowych przerw w The Chicken Palace. Całują się przed budynkiem telewizji polskiej, a także w sopockich klubach, do których Burza zapraszana jest na darmowe drinki. Astrid podziwia zaskakującą kolekcję odblaskowych leginsów i krótkich kurtek z watowanymi ramionami, którymi dysponuje Burza. Wciąż co rano ogląda ją w telewizji, jak błądzi dłońią po mapie i wie, że uśmiechy, które posyła w stronę kamery, są tak naprawdę tylko dla niej. Kupują pluszowego tygrysa i kładą go w nogach łóżka. Astrid przed wyjściem zostawia na stole liściki, na przykład: *Burzo, kup proszę kalafiora i jadalne kwiaty. Będę wieczorem. A.* W niedzielę czytają gazety, palą papierosy i przyklejają świeże tipsy. Czasem jadą na spacer do lasu, Astrid kopie w liście, a Burza przygląda się niebu i zapewnia, że nie będzie padać. Mimo to czasem łapie je mżawka, ale wtedy po prostu rozwieszają ubrania na balkonie i uprawiają seks na wersalce. Astrid zmienia nazwę baru na The Chicken Love Palace i powtarza zdezorientowanym klientom, że warto pisać listy miłosne. Kłócą się o to, jak zmieniać pościel – Astrid przewraca poszewki na lewo, a Burza woli wchodzić do ich wnętrza, dopasowując do siebie rogi kołdry. Frytki smażą się odtąd na złoto, a chmury układają się w miłe kształty, takie jak wiewiórki, kieliszki do martini oraz walentynkowe czekoladki. Płyną wolno, niesione nadmorskim prądem, a w tle podzwania cymbergaj.

Nina Sikorska – urodzona w 2001 roku w Bielsku-Białej, absolwentka kierunku Animacja na Uniwersytecie Artystycznym im. Magdaleny Abakanowicz w Poznaniu. Píše, ilustruje i reżyseruje filmy animowane. Jej teksty ukazały się w kilku numerach magazynu *Zakład* i *Składka* oraz antologii *Lines from Visegrad*, a ilustracje na łamach zina *Girls and Queers to the Front* czy *Tłenu Literackiego*. W swojej twórczości eksploruje zagadnienia kampu, cyberbaśni, polskości i teatralności. Można ją znaleźć na Instagramie na koncie: @nelsikoreska.

przygotowanie

Bartosz
Danisiewicz

światło jelita
przysłonięte
ledwo nakarmiony

w smaku
nie odróżnisz
ile razy przeżuty

opróżnią
po wszystkim

nabieram powietrza
szeptem
wydmuchuję

ogrzewam skrawek poszewki
ściskam poduszkę z obydwu stron

przylepiam policzek
pozycja bezpieczna

ustalone
to ludzka skóra

pierwsza pomoc

Bartosz
Danisiewicz

rekombi- nacja

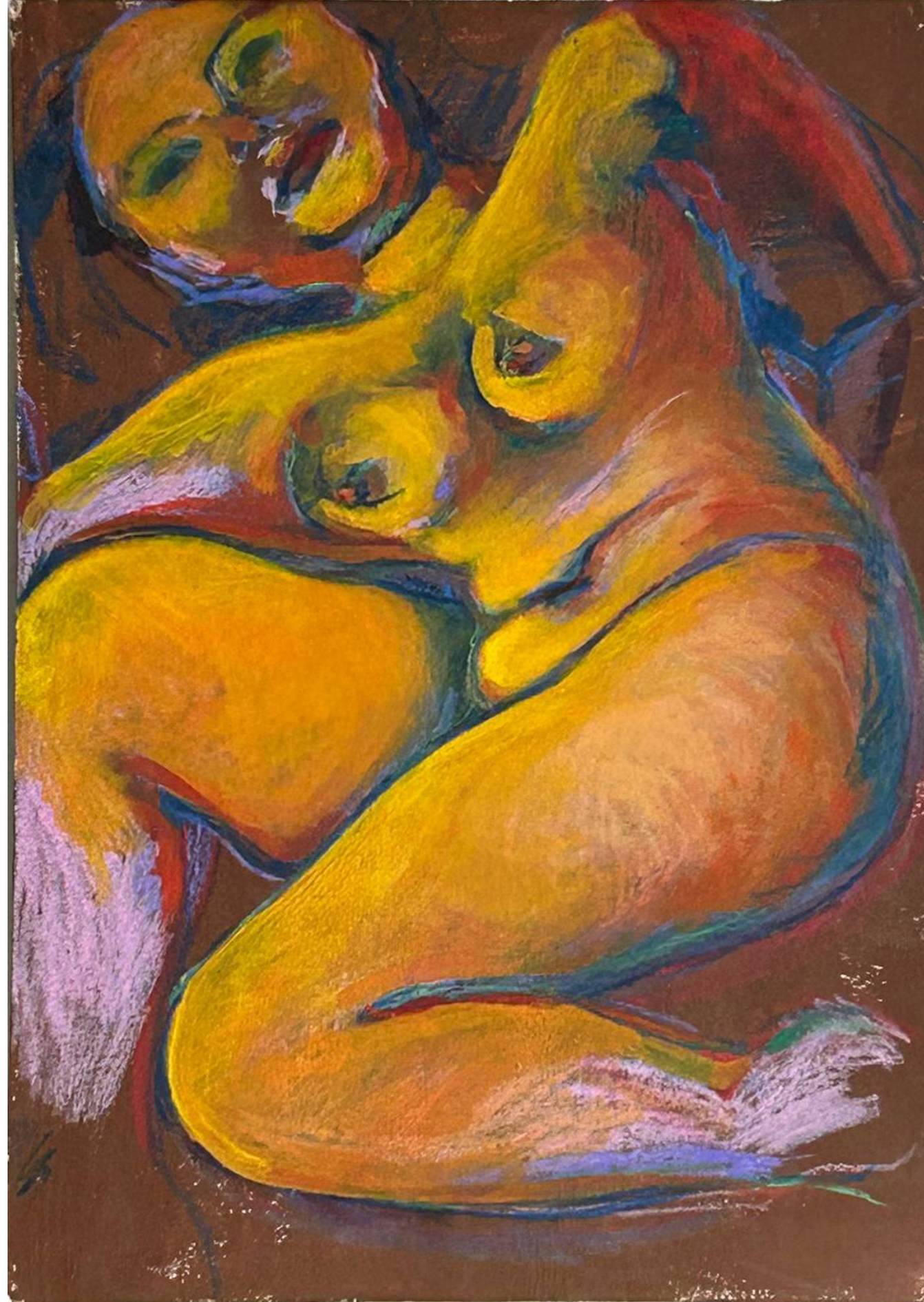
Bartosz
Danisiewicz

za uchem
zakładasz włosy
wiązanki
przekleństw
kwieciste kompozycje

wydajesz wspólny budżet
wydajesz dźwięki
zderzone kieliszki
obcinacz do paznokci
śpiew pod prysznicem
w odpływie
materiał genetyczny

tego nie wyplenisz
wybielaczem

Bartosz Danisiewicz (ur. 2004) – pisze, czuje, pragnie, studiuje psychologię i cognitive science w ramach Kolegium MISH Uniwersytetu Warszawskiego. Finalista 21. edycji „Połowy Biura Literackiego”, zwycięzca XII edycji konkursu *O Trzcinę Kortowa* oraz laureat II miejsca w ogólnopolskim konkursie Fundacji Olgi Tokarczuk na mowę noblowską za esej *Okna*. Nagrodzony nagrodą publiczności w Grudniowym Akademickim Przeglądzie Artystycznym 2024. Publikował w *VariArcie*, *POZa Linią* i internetowym magazynie literackim *Składka*. Chciałby przez chwilę mieszkać w nowojorskiej kamienicy. Pracuje nad swoim książkowym debiutem. W internecie @bdanisiewicz.



Czarno na białym

Norka Keller

Pewien stary Włoch powiedział jej kiedyś, że wygląda jak Valentina z komiksu Guido Crepaxa. Od razu pomyślała, że to chwyt marketingowy, aby podeszła do jego stoiska, jednego z niewielu na bazarze w tym opuszczonym przez Boga miasteczku, szczególnie w taki upalny dzień, i zakupiła rzeczony komiks, jak i przy okazji inne *fumetti*, zakurzone i nadgniłe jak on sam – a jednak coś ją tknęło, by podejść, wyjąć cienki zeszyt z jego ręki i na lekko pożółkłych, czarno-białych kartkach znienacka zobaczyć siebie.

Ciemne, krótkie włosy, z grzywką, pełne usta i długa szyja, piersi małe, acz kształtne, wklęsły pępek, wąskie biodra z jeszcze węższą talią, subtelny meszek na łonie, szczupłe pośladki, uda i łydki i lekko wystające kostki. Valentinę narysowano w starannym detalu, nie pomijając ani jednego fragmentu nagiego ciała. Rzeczywiście wyglądały identycznie – pomijając oczywiście drobiazgi jak spalenizna i krostki i przebarwienia na skórze, które w druku ujednolicały się do bieli, i dziwny kolor włosów, który w druku wyrównywał się do czerni. Patrzyła się na Valentinę, a Valentina patrzyła się na nią. Stary Włoch chrząknął ponagłająco, tak, że aż się wzdrygnęła i, spłoszona jak pomidor, pośpiesznie wcisnęła mu do dłoni pierwszy lepszy banknot, który wyciągnęła z kieszeni równie czerwonej spódnicy.

Odeszła ze stoiska pospiesznym krokiem, trzymając komiks w dłoni, z palcem włożonym między miękkie strony niczym zakładka. Miała jeszcze załatwić parę sprawunków, to w mięsny, to w aptecę, lecz zrobiło jej się gorąco, być może od jednej warstwy ubrań za dużo, być może od słońca szczytującego na południowym niebie, a być może, nawet najprawdopodobniej, od stron pomiędzy pal-

cami. Żwawo szła do domu, mimowolnie dopuszczając do siebie frywolną, słodką myśl, że ktoś taki jak ona, dosłownie ona, mógł być ucieleśnieniem piękna, powszechnym obiektem pożądania, Venus z Niziny Padu, ale parę dobrych lat temu na kartach nieco zapomnianego komiksu. Przysiadła w cieniu, na rozklekotanej ławce, pod uschlým drzewem, nie mogąc się oprzeć dalszej lekturze, chociaż przekartkowaniu paru stron – a na każdej wyglądała rozkosznie pięknie, miękkie łuki, lekkie krągłości, czern i biel. Albo naga, albo ubrana szykownie, kusząco acz nietykalnie, ujęta pod najkorzystniejszym kątem, gdy robiła fotografie, piła przez słomkę w restauracji, odpalała papierosa w samochodzie, a nawet leżała na łóżku z termoforem na podbrzuszu. Na jednym z kadrów miała identyczną szeroką spódnice, tylko czarną, i bluzkę bez rękawów, zapinaną na małe guziczki. Odetchnęła ciężko i wtem kątem oka zobaczyła, że ktoś się jej, lub Valentinie, przygląda. Jakis dzieciak, może siedmioletni chłopiec, zerkał na komiks zza jej ramienia. Gwałtownie zamknęła zeszyt, zerwała się z ławki i bąknęła obruszona, *non c'è per i ragazzi!*

Zmierzając do domu, próbowała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio czuła się tak atrakcyjna. W miasteczku, gdzie, notabene, tak jak Valentina pracowała jako fotografka, to raczej ona próbowała sprawiać, by jej klienci czuli się piękni i zadowoleni. Zresztą wszyscy byli tu raczej pruderyjni i zachowawczy, przynajmniej w godzinach pracy zakładu. Nie licząc dzisiejszego quasikomplementu od starego sprzedawcy, ostatnie miłe słowo na swój temat usłyszała od kochanka, parę tygodni temu, gdy odwiedziła go w jego mieście, przy okazji zaopatrzenia zakładu w klisze i chemię do wywoływania

zdjęć. Miała jednak podskórne przeczucie, że taka prawda powiedziana w newralgicznym momencie mogła również dobrze być kłamstwem, szczególnie że od tamtego czasu wciąż jej nie odwiedził, a na krótkie liściki odpowiadał jeszcze bardziej zdawkowo, że jest teraz zajęty i przyjedzie później, lecz prosi o zdjęcia. Przecho-
dząc przez bramę z przyzwyczajenia zajrzała do skrzynki – tym razem nie przyszło od niego zupełnie nic.

Wdrapała się na swoje poddasze i zdyszana uznała, że tym razem musi zmienić kolejność swojej *pausy pranzo* – najpierw się położyć, a potem zjeść coś na szybko i zimno (któż by gotował w takim upale?). Położyła komiks na chłodnej pościeli, którą też kupiła tam, u niego, w tym dużym mieście, już dawno temu. Była wobec niego lojalna, bo był jedynym człowiekiem, który widział ją taką, jaką była – przynajmniej na zewnątrz. Fascynowała go jej forma, uwielbiał rzeźbić jej przyjemność swoimi dłońmi. Kiedy ją widział, wszystko było dobrze. Lecz przez cały ten czas sytuacja była zgoła odmienna – Valentine adorowało pięćdziesiąt tysięcy osób, tak przeczytała w drobnym druczku o nakładzie komiksu na wewnętrznej okładce, starych i młodych, kobiet i mężczyzn, raczej mężczyzn. Bezwiednie przeszła do następnych stron, rozkładając się na miękkim łóżku.

Między pięknymi ciałami Valentiny oraz innych bohaterów komiksu wychwyciła nić fabuły, fantastyczną historię o safickiej czarownicy i fotomodelkach umierających w ezoterycznych okolicznościach. Ciała białe jak papier migały między stronami, tyle piersi i pośladków i dołków na lędźwiach, wydziwione pozycje, erotyczne kombinacje, pożądliwe oczy i rozchylone usta, gorsety, węzłki, supełki i paseczki. Dobrze, że nie dotarła do tych stron, gdy tamten dzieciak

podglądał zza ławki, pomyślała. Wszystkie kobiety objęte tymi zakręconymi, płynnymi konturami były piękne; mężczyźni praktycznie tam nie było. Czemu tak? Przez głowę przemknęła jej myśl, że te wszystkie kobiece ciała zostały rzucone na żer zachłannym mężczyznom, że nie powinno się na nie patrzeć, tylko przykryć, wziąć tusz i dorysować im ubrania, nawet zamazać wszystkie stro-
ny, przytulić je czarnym atramentem, aby nie dostały się w niepo-
wołane ręce, tak jak ona sama, a skoro była dosłownie Valentine, to jej też to groziło, i wszystkim innym kobietom, i ich ciałom uwiecznionym na kartach komiksu.

Mimo to rozgorączkowana kontynuowała lekturę, leżąc na boku, wiercąc się czasem, by rozpiąć guziczki bluzki, rozsunać suwak spódnicy i zsunąć ją wzdłuż tyłka. Nie była pewna, czy bardziej jest jej gorąco pod skórą, czy poza nią, od temperatury w małej, dusznej sypialni. Valentina wykręcała się ze wszelkich perypetii i ze wszelkich niepowołanych rąk. Czyż nie wołałyby wszystkie te nagie bohaterki, aby chociaż raz patrzyła na nie kobieta, a nie mężczyzna? Wygięła plecy w łuk, aby rozpiąć stanik, wbijający się jej w rytmicznie unoszące się żebra. Chyba, że wołałyby, aby nie patrzył na nie nikt, aby spalić wszystkie komiksy, w tym upale papier zaraz dokona samozapłonu, tak samo jak i ona.

Upuściła komiks i rozpalona podniosła się z łóżka, prędko otworzyła na oścież okno i zaciemniające okiennice, tak że poczuła równocześnie żar słońca i lekki letni przeciąg głaszczący każdy fragment jej ciała, przepływający przez każdą szczelinę. Ujrzała w małym, prostokątnym lusterku na parapecie, że jej skóra jakby zbladła, a jej włosy przyciemniały, może w kontraście do skóry, ale wydawały się

zupełnie czarne. Na własne oczy widziała, że wygląda przepyszenie. Gdy nachyliła się nad lusterkiem, aby zdjąć pończochy i bieliznę, jej piersi naprężyły się. Znowu sięgnęła po komiks. Jej wzrok przyciągnął kadr z Valentiną pochyloną nad aparatem – tak samo sięgnęła po jedną ze swoich kamer i uformowała się w lusterku. W następnym kadrze Valentina siedziała na podłodze w rozkroku – odsta-
wiła aparat i ściągnęła lustro z parapetu, by ułożyć się w ten sam sposób. Pochylona tyłem. Dłoń na ustach. Leżąca bokiem. Wypina-
jąca pośladki. Rozłożona na podłodze. Przymrużone oko. Gimna-
stykowała się, tańczyła, rozciągała, a w małej ramce lusterka każde ujęcie jej ciała było wyważone i składnie skomponowane; wyglądało konkretniej niż z perspektywy dwojga jej oczu oraz naturalniej niż na fotografiach, które wywoływała po nocach i posyłała mu pocztą w podwójnej kopercie, ażeby nikt nie podejrział ich zawartości przez cienki papier. A to i tak było za mało, by się za nią, lub choćby za jej ciałem stęsknił i przyjechał, zobaczył całą naraz lub rozkosznie wykadrowaną w lusterku.

Pochłonięta Valentiną ledwo co zauważyła, że za oknem, na balko-
nie sąsiadów z naprzeciwka, coś się poruszyło. Spod rozwichrzo-
nych włosów ujrzała sylwetkę sąsiada, albo sąsiadki, byli do siebie
wszak dość podobni, nowi młodzi lokatorzy, lecz to bez znaczenia,
to tylko jedni z pięćdziesięciu tysięcy egzemplarzy, raczej mężczy-
zna, przemknęło jej przez myśl, przynajmniej to nie tamten, wy-
prostowała się i przeciągnęła, wystawiając piersi na sztorc, nawet
nie wiadomo, czy się patrzy, czy nie, czy odwracają wzrok na coś
innego, na kogoś innego, może on nawet jej nie widział, nawet przy
oknie było tu całkiem ciemno, powinna narzucić szlafrok i wychy-
lić się przez ramę okna i zarzucić czarnymi włosami i mrugnąć

oczkiem, rozchylając materiał na piersi, najlepiej paląc papierosa,
ale klisze są łatwopalne.

Na chwilę zastygła i dokładniej przypatrzyła się kamienicy za
oknem. W rzeczy samej, na balkonie sąsiadów ktoś stał, lecz ku
jej zaskoczeniu była to sąsiadka, przykrywająca kwiaty plandeką.
W tym momencie złapała jej spojrzenie i zaczerwieniła się tak, że
było to widać nawet z jej dystansu. Zauważyła ją. Kupiła to? Zdrowy
rozsądek krzyczał, aby nie niszczyła swojej reputacji w miasteczku,
lecz ciało nie chciało się zmarnować, ukrywać dłużej za warstwą
kurzu, chciało wyjść na światło dzienne, być widziane i podziwiane
i może nawet kochane.

Wychyliła się przez ramę okna i zarzuciła czarnymi włosami
i mrugnęła oczkiem do sąsiadki, po czym odwróciła się i rozkoły-
sanym krokiem wróciła na łóżko. Przymknęła oczy i położyła się
na plecach łóżku, wyjątkowo twarzą w stronę okna, wygięła kręgo-
słup, jedną dłonią chwyciła za komiks, a drugą zaczęła wodzić po
piersiach, po brzuchu, po szyi i twarzy. Nie obchodziło jej to, czy
patrzy na nią sąsiadka, czy jeszcze sąsiad, czy ktoś znajomy, czy
nieznajomy, czy całe miasteczko, czy on, czy nikt – przy zamknię-
tych oczach nie miało to znaczenia.

Wiła się na łóżku, jakby jej członki w osobliwych pozycjach miały
dublować za drugie ciało, ciało Valenty. Na zmianę kuliła się
i prostowała, przekręcała i rozciągała, sunąc wolną dłonią po każ-
dym konturze ciała, zarysowując wszelkie wypukłości i wklęsłości,
na nowo formując każdy detal, każdy drobiazg. Zostało jej parę
stron, ale nie musiała ich otwierać, nie musiała na nie patrzeć, by
wiedzieć, jak to się skończy. Drżała z przejęcia, zapuszczając się

coraz głębiej w miejsca, których nie dało się zobaczyć, nie dało narysować, nie były ani białe, ani czarne. Bezwiednie rozchyliła powieki i nagle zrobiło jej się ciemno przed oczami. Zabrała rękę, chwyciła mocniej za zeszyt, przyciskając obiema dłońmi do piersi, gniotąc i rwąc kartki, próbując się w nie wczepić, czegoś przytrzymać, ale strony sypały się w jej dłoniach, szarpane w konwulsjach, aż zupełnie zwiotczała i bezwładnie opadła na łóżko.

Valentina obudziła się dopiero pod wieczór, zasypiana krociem pstrokatych skrawków.

Norka Keller – mimowolna literatka z tendencją do wyolbrzymiania. W podstawówce wygrała konkurs poetycki o papieżu. Na Substacku @norkakeller.

wyjaral 8 szlugów
kiwając głową na przystanku
drobny dryg w jego kroku
lekka praca bioder
ale to jeszcze nie jest jego 100 procent
to tylko ułamek jego wrażliwości

kiedy indziej
w intymności z kolegą
siedzą w czarnym bmw
oddechami zaparowane
szyby zamykają ich od świata
dwie pary dresów dwie łyse głowy
wspólna końcówka papierosa
białe prochy w schowku
w radiu sokół

zaczyna rapować
myśląc o esencji swojego bloku
potem zwrotką wymienia się z kolegą
na refren patrzą sobie w oczy
świecą się jak ich ortaliony
zaczyna czuć coś niewytłumaczalnego
od gęsiej skórki, aż po zahartowane kości

ale to jeszcze nie jest jego 100 procent
to tylko ułamek jego wrażliwości

Tomek Supel jest grafikiem z Warszawy. Interesuje się intrologatorstwem i ręcznym szyciem książek i zinów. Lubi zbierać grzyby, grać w gry planszowe i narzekać na AI. Fan twórczości beatników. Gdyby był serem, to byłby korbaczem. Można go znaleźć na Instagramie na koncie: @tom_supel.

Zamuzykowany

Tomek Supel

Workshop Simulator 2D

Konrad Tomalik

Wybudzam się zbiornikiem na szlugi z piwem, na migrenę, a potem rosół z Nimesilem. Pocieram oczy, ale nic się nie zmienia, nadal widzę dwuwymiarowo, bo pod prawą powieką rośnie mi guz, znaczy się ganglion spod nadgarstka, według kartoteki pacjenta nierozwinięte trzecie oko z przemieszczeniem. Na razie mam jedno, bo ganglion wypiera drugie, zostawia tylko szczelinę niczym ucho igielne. Rozkładałam sześcian pomieszczenia na betonowe ściany – wewnątrz znajduje się ukryty wymiar dorabiania u wujka w warsztacie samochodowym. Kluczem francuskim składałam origami, wielokrotnie chwytam śrubki, inne metale i rozkładałam na miejsca. Zbieram opierdół, zamiatam posadzkę i czuję na plecach, jak lustruje mnie ze ściany dwuwymiarowa, a więc pasująca do mojego widzenia, blond miednica opasana sznurkiem ze wzorem USA.

Bo na jednym gwoździu wisi krzyż i kalendarz z gołą babą. Wisi Maj, na umowie zleceniu pracuje przez 31 dni w roku. Kiedy fajrant i w warsztacie światła gasną, czyli w takiej oto chwili, po godzinach zakłada habit. Dorabia ze mną, bo ma wydatki, coraz drożej jest wracać do miejsca, gdzie ją wydrukowali. Utylizujemy razem olej silnikowy o pigmentcie otchłani, która również patrzy w nas. Wylewamy to kilkanaście metrów dalej, pod świerkiem, refundujemy mu tranzycję na drzewo oliwne.

Oprócz szaty (*Strój dla dorosłych „Zalotna zakonnica”, czarny, rozmiar M / cena 79.99 zł / wysyłka w ciągu 48h / Przez ostatnie 24 godziny oglądało 9 osób*) widzę blizny po operacjach, liftingi, zmiany, a kiedy idziemy przed siebie, to podskórnie migrują dookoła niej także implanty. Ganglion pulsuje od patrzenia. Podczas przerw, gdy siadamy, to Maj wywraca się w całości na lewą stronę. Wciska palce pod moją,

łuszczącą się skórę, kiedy z powrotem rozprostowuję jej stawy, montuję woreczek żółciowy, tarczycę, wątrobę. Wnikamy sobie głęboko do nozdrzy. Maj, tym razem powywracana na wszystkie strony, oplata mnie, nadrabia mój zanik mięśni, oddaje nerkę i podwaja przerzedzone włosy. Rozpruwam jej rozstępy, a wtedy tryska kwas hialuronowy. Naciska mi na ganglion, pociera, nabrzmiewa, aż zabiera mi pół twarzy, wreszcie pęka i wypływa *Toti-no's pizza* sztuczna mozzarella, zrobiona bez kropli tłuszczu mlecznego. Zamiast tego upłynnione kości i skóra zwierzęca ubijana jest z olejem roślinnym, farbowana na białe dwutlenkiem tytanu, pigmentem malarskim, wdmuchanym strumieniem pary w błądą mazistą papkę.

Wybuchł mi ganglion i może straciłem trzecie oko, ale opuchlizna zeszła i odzyskałem drugie. W tym uścisku jednak pojawiają się kolejne, migrują radośnie pod skórą razem z silikonami. Dalej wylewamy litry oleju pod drzewem, a wtedy podłoże bulgocze i się bagiennie zapada. Coraz bardziej się ślizgamy, aż wreszcie lądujemy i zaczyna padać. Gdy śmiesz się w deszczu i chleptasz krople, to skąd wiesz, że nie szczają Ci do mordy aniołowie? Pyta mnie Maj i już nie ściska tak mocno, jak przedtem. Bo co, jak się skończy miesiąc, skończy nam się olej?

Nie miała nigdy lekko, choć pracowaliśmy kiedyś podobnie. Maj jako samczy fantom-prowokator, Ja za to naparzałem w komputer, dbałem o farmę, sadziłem chłopkiem marchew i kukurydzę, wpisywałem dane karty mojej mamy, aby kryształkami szybciej wybudować chlew i stodołę. Dużo inwestycji, stresu, nie było wtedy dofinansowań, a kombajn to mogło mieć jedynie TOP 10 wszy-

kich graczy. A w jej świecie cała genetyka światowej populacji trzody i bydła mlecznego pochodziła od garstki elitarnych samców reproduktorów, zbędna reszta trafiała bezpośrednio do tuczu rzeźnego. Nasienie natomiast pobiera się fantomem-prowokatorem. Samiec w podnieceniu wskakuje na atrapę, a pracownik pobiera płyn metodą manualną. Ejakulat dzieli się na frakcje: pierwsza, bogata w bakterie, jest odrzucana. Potem frakcja żelatynowa jest filtrowana przez sitko, a frakcja plemnikowa, najbardziej pożądana, trafia do dalszej obróbki.

Ściskam Maj mocniej, bo w moim świecie wszystko grało według zasad Komisji Europejskiej, nad stodołą w nocy pojawiały się gwiazdki i serduszka, a młode zwierzątka przychodziły na świat następnego dnia po zapisie gry. Teraz już wszystko będzie dobrze, wszystko będzie dobrze, bo jesteś tutaj, wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Mimo obaw dalej ściskamy się mocno, a z czasem widać, że wylanie się nie kończy, warsztat na okrągło spływa olejem, jednak kontakt z nim nasila u nas zmiany nowotworowe. Na skórze Maj postępuje ekspansja zaczerwienionych rejonów spod koleczka na wardze i w pępku, sączą się stamtąd jajka hodowane w laboratorium, czyli przemysłowa pleśń zszyta z pojedynczym genem jajecznym. Wrzucona do zbiorników fermentacyjnych, tuczona rafinowanym cukrem i spływająca w oślizgły drożdżowy bulion. Ten mętny odciek jest potem suszony rozpyłowo tonami na proszek, mieszany z roślinnymi wypełniaczami w podrobione białko jaj, a następnie pompowany tam, gdzie rozciągają się drzewa, drzewa, drzewa i nagle przerwa w zalesieniu, takie długie pasma, na słupy telegraficzne.

Płynie to wszystko po osi układu podrzędnych okablowaniem, my też nim zmierzamy, bo chwilę wcześniej rozstępuje się niebo i ziemia tam, gdzie stało nasze drzewo oliwne. Wir kręgów emanacji ropy naftowej nas wsysa i wypływa przewodami. Ja i Maj się odklejamy. Chcemy zawrócić, ale z masztów 5G łapiemy sygnały, że wir za nami się jedynie powiększa, nie ma już świata, jaki znamy. Emigruje cały region, najpierw odbijamy się wzajemnie, ale minutę później jest nas tyle, że prawie zatykamy przewód transportowy. Ściśnięci jak w autobusie, a plama na szybie po tłustym czole może być wszystkim innym, tylko nie tłustym czołem, tą samą wydzieliną, co w warsztacie pod stołem spływa wedle teorii skapywania wprost na mikropunkty pełzającego, żywego białka. Wystarczy chwila, szczypta świadomości [do wypełnienia] i zaraz powstaje pięciokilowy prostopadłościan szynki. Nie ma w niej kości, tłuszczu ani tkanki łącznej. To zemułgowany, upłynniony, przecedzony zlepek mięsa z kilku świń, nierozzerwalnie spojony w mięsny monument. To wszystko zaszło za daleko. Patrzę jej w oczy głęboko, stabilnie pośród turbulencji, a Fidiasz wyciosuje gdzieś ten obraz w mojej głowie i finisz, dziura w kalendarzu, z jej prawego boku wypływa krew i *zabawki z EPEE – wielka frajda!*

Konrad Tomalik – student Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Przed debiutem. Publikował do tej pory m.in. w *Szufladzie*, *Szkicach*, *Trytytce* oraz *8. Arkuszu Odry*. Można go znaleźć na Instagramie na koncie @_egregius_.

MISIE LUBI SIE

Magda Łobejko

Leżę na podłodze jak wykaszlane rzygi. Tarzam się w smutku jak francuska, rozpruta na kawałki mimica. Niedawno nauczyłam się pływać, ale spadłam na dno i nie mogę się od niego odbić. Czuję się jak mały kotek utopiony w mleku, a może bardziej jak pijany zając w kapuście. Chuj wie, jak się bardziej czuję. Może nie czuję, bo w sumie to nic nie czuję. A to ma sens, bo w porannej audycji mówili o emocjonalnej znieczulicy. Jestem jak łzawa kupa, emocjonalnie rozjechana.

Tylko pozytywne słowa mogą uratować mój stan, więc wprowadzam w swój krwiobieg dobre myśli i wytrząsam te zjebane. Mówili też: zacznij teraz, jest później, niż myślisz; lepsze jest wrogiem dobrego; zjedz tego słonia na łyżki. Nie spierdol tego, nadaj temu bieg, weź tę krowę za nogi, rogi, wymiona. Jeb pokoleniowe traumy, ale pamiętaj: nie tak zachłannie, bo wojna, głód i przemoc na świecie. Prosta układanka: dobre myśli nakładaj na te złe, zjadaj przeciwników jak Pac-Man i przyj mocno do przodu.

Wykaszlane rzygi zbieram z podłogi, kładę na łóżku i nadaje im jakąś formę. Wkurwia mnie słońce i śmiejące się trzydziestolatki na azjatyckich plażach.

Dobra. Stop. Reset.

Nagradzam się dobrym słowem: „nie lękaj się”. Chwytam się za rękę i ruszam na randkę solo. Cel: Kerfur na parterze. Zrobić zakupy tak, aby nikt nie przyuważył, że dziś czuję się jak porzucona na chodniku, rozjechana psia kupa.

Już widzę, że to się nie uda, że ten dziad dworcowy, kerfurowy ochroniarz, obstawia drzwi wejściowe. Ma oczy, jakby pies dwie

dziurki w śniegu wyszczał, więc jest szansa, że może mnie nie zauważy... Przemykam jak tchórzofretka.

Idę do działu dobrych myśli slash słodczy. Chcę, żeby całe moje ciało oblał insuliny strzał. Misie lubisie, kinderki i kwaśne żelki, czekolada z okienkiem, ultraróżowe pianki. Intuicyjnie wybieram to, co dobre. Napycham się, czuję, jak cukier oblepia moje trzewia, popycham misia lubisia kinderkiem. Kinder bal nie jest mi żal.

Czy warto było?

Warto.

Magda Łobejko (ur. 1993) – współtworzy zina literackiego *Na wynos*. Uczestniczyła w grupie warsztatowej dramatu podczas Transportu Literackiego 2026. Obecnie pracuje nad swoim debiutem dramatopisarskim *Rzeka wysycha, a Big Maci nie*. Swoimi tekstami dzieli się na Instagramie @magda_lobejko.

Bez tytułu

Zuza Sroka

gdybym położyła się brzuchem na skalnej płycie
na szczycie gór i w pełnym słońcu
niczym ofiara czekająca na swojego oprawcę
liczyłabym drobinki piasku kłujące moją skórę
byleby tylko nie myśleć o tym
czy taka też ci się podobam

Zuza Sroka (ur. 2001) – początkująca poetka, skupiająca się głównie na łączeniu słowa z obrazem przez technikę kolażu. Słuchaczka studiów literacko-artystycznych na UJ. Mieszka w Krakowie.





Redakcja: Krystian Furga, Klaudia Kołodziejczyk,
Sandra Moczulska, Marcin Salwin
Korekta: Oliwia Borowiec, Krystian Furga
Skład: Klaudia Kołodziejczyk, Sandra Moczulska
Obraz na okładce: Kundyż Kazhenova (@jaztoba)
Na stronach 12-13: fragment ilustracji „Ephialtes”
Louisa le Bretona z „Dictionnaire infernal”
Obraz na stronie 23: Kundyż Kazhenova (@jaztoba)
Na stronie 39: fragment rysunku „Et nous aussi
nous serons meres ; car.....!” Jean-Jacques’a Lequeu
Na stronach 40-41: fragment obrazu „Jeune fille grecque”
Charles’a-Amable’a Lenoira

Magazyn Literacki Składka, Warszawa 2026
www.magazynskladka.pl



SKLADKA